

FRAGMENT PROMOCYJNY. Wszelkie prawa zastrzeżone.

JEDWABNIK

FRAGMENT PROMOCYJNY. Wszelkie prawa zastrzeżone.

FRAGMENT PROMOCYJNY. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ROBERT GALBRAITH

JEDWABNIK

Przełożyła z angielskiego
Anna Gralak


WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

FRAGMENT PROMOCYJNY. Wszelkie prawa zastrzeżone.

 **NajlepszyPrezent.pl**
TWOJA KSIĘGARNIA INTERNETOWA

Tytuł oryginału
The Silkworm

Projekt okładki
LBBG – SIAN WILSON

Redakcja techniczna
ADAM KOLENDA

Copyright © 2014 Robert Galbraith Limited.

Polish editions © Publicat S.A. MMXIV

Osobiste prawa autorskie zastrzeżone.

Wszelkie postaci i wydarzenia opisane w tym utworze, poza znajdującymi się w domenie publicznej, są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden fragment niniejszego utworu nie może być reprodukowany, przechowywany ani przesyłany w żadnej formie ani żadnymi środkami, bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy. Utwór nie może też być rozpowszechniany w formie lub okładce innej niż oryginalna oraz w formie innej niż ta, w której został wydany.

FRAGMENT PROMOCYJNY



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Publicat S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www. publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

1

PYTANIE

Czymże się żywisz?

ODPOWIEDŹ

Niespokojnym snem.

Thomas Dekker, *The Noble Spanish Soldier*

– Lepiej żeby chodziło o śmierć kogoś cholernie sławnego, Strike – powiedział zachrypnięty głos w słuchawce.

Wielki nieogolony mężczyzna z telefonem przyciśniętym do ucha, idąc ciężkim krokiem przez mrok wczesnego ranka, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Coś w tym rodzaju.

– Jest pieprzona szósta rano!

– Wpół do siódmej, ale jeśli chcesz dostać to, co zdobyłem, będziesz musiał przyjść – powiedział Cormoran Strike. – Jestem niedaleko twojego domu. Spotkajmy się w...

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam? – spytał rozmówca surowym tonem.

– Sam mi powiedziałeś – odrzekł Strike, powstrzymując ziewnięcie. – Sprzedajesz mieszkanie.

– A – uspokoił się ten drugi. – Masz dobrą pamięć.

– Jest tu całodobowy bar...

– Mam to w dupie. Przyjdź później do redakcji...

– Culpepper, dziś rano jestem umówiony z innym klientem, płaci lepiej niż ty, a poza tym nie spałem całą noc. Jeśli chcesz wykorzystać tę informację, musisz po nią przyjść teraz.

Jęknęcie. Strike usłyszał szelest pościeli.

– Lepiej żeby to naprawdę był jakiś hicior.

– Smithfield Café przy Long Lane – powiedział Strike, po czym się rozłączył.

Lekka nierówność jego kroku uwidoczniła się bardziej, kiedy schodził z górki w stronę Smithfield Market – monolitycznej w zimowych ciemnościach, olbrzymiej, prostokątnej wiktoriańskiej świątyni mięsa, gdzie od czwartej rano w dni powszednie wyladowywano zwierzęce zwłoki, od wieków tak samo, krojono je, porcjowano, a potem sprzedawano rzeźnikom i restauracjom w całym Londynie. Strike słyszał głosy w mroku, wykrzykiwane polecenia oraz warkot i popiskiwanie cofających ciężarówek wyladowanych tuszami. Gdy wszedł na Long Lane, stał się jednym z wielu okutanych mężczyzn idących rażnym krokiem, żeby załatwić poniedziałkowe poranne sprawy.

Pod kamiennym gryfem strzegącym rogu targowiska grupka kurierów w odblaskowych kamizelkach ścisła w urękawiczonych dłoniach kubki z herbatą. Po drugiej stronie ulicy, niezbyt otwarty kominek, żarzyło się w ciemności Smithfield Café – działająca dwadzieścia cztery godziny na dobę kryjówka wielkości kredensu, pełna ciepła i tłustego jedzenia.

W barze nie było łazienki, ale właściciel miał umowę z pracującymi po sąsiedzku bukmacherami. Ladbrokes otwierało się jednak dopiero za trzy godziny, więc Strike skręcił w boczną uliczkę i w ciemnej bramie ulżył pęcherzowi nabrzmiałemu od słabej kawy wypitej podczas nocnej pracy. Następnie, wyczerpany i głodny, odczuwając przyjemność, jakiej może doświadczyć jedynie mężczyzna, który przewyciężył cielesne ograniczenia, Strike ruszył w stronę ociekającej tłuszczem atmosfery smażonych jaj i bekonu.

Dwaj mężczyźni w polarach i płaszczach przeciwdeszczowych właśnie wstali od stolika. Strike wpasował cielsko w małą przestrzeń i z pomrukiem zadowolenia opadł na krzesło z drewna i stali. Zanim zdążył się odezwać, właściciel, Włoch, postawił przed nim herbatę w wysokim białym kubku, serwując do niej trójkątne kawałki białego chleba z masłem. Pięć minut później przed Strikiem stało pełne angielskie śniadanie na wielkim owalnym talerzu.

Strike bez trudu wtopił się w tłum silnych mężczyzn hałaśliwie wchodzących do lokalu albo wychodzących na ulicę. Był duży i ubrany na ciemno, miał gęste, krótkie, kręcone włosy, które cofnęły się trochę z wysokiego zaokrąglonego czoła wieńczącego szeroki, bok-serski nos i krzaczaste, nastroszone brwi. Szczękę Strike'a przybrudził lekki zarost, a ciemne oczy wydawały się jeszcze większe niż zwykle, gdyż otaczały je sine cienie. Jadł w zamyśleniu, patrząc na budynek targowiska naprzeciwko. Najbliższe łukowate wejście, opatrzone numerem dwa, nabierało kształtu w rzedającym mroku: surowa kamienna twarz, stara i brodata, gapiała się na Strike'a znad bramy. Czy istniał kiedyś bóg zwierzęcych tusz?

Gdy Strike zabrał się do jedzenia, przyszedł Dominic Culpepper. Dziennikarz prawie dorównywał mu wzrostem, ale był chudy i miał cerę chłopca z kościelnego chóru. Dziwna asymetria – jakby ktoś przekrzywił mu twarz w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara – ratowała go przed budzeniem skojarzeń z dziewczęcą urodą.

– Lepiej żeby to było coś ważnego – powiedział Culpepper, siadając.

Zdjął rękawiczki i z lekko podejrzliwą miną rozejrzał się po barze.

– Chcesz coś do jedzenia? – zagadnął Strike z ustami pełnymi kiełbaski.

– Nie – powiedział Culpepper.

– Wolisz zaczekać na croissanta? – spytał Strike z szerokim uśmiechem.

– Wal się, Strike.

Jakże łatwo było zdenerwować tego absolwenta prywatnej szkoły, który z wyzywającą miną zamówił herbatę, zwracając się do obojętnego kelnera per „kolego”, co Strike odnotował z rozbawieniem.

– No więc? – spytał surowo Culpepper, trzymając gorący kubek w długich, białych dłoniach.

Strike pogmerał w kieszeni płaszcza, wydobyl kopertę i przesunął ją na drugi koniec stołu. Culpepper wyjął zawartość i zaczął czytać.

– O ja pierdole – powiedział po chwili ściszym głosem. Zaczął gorączkowo przerzucać kartki, niektóre były pokryte notatkami Strike'a. – Skąd to wytrzasnąłeś?

Strike, wciąż z ustami pełnymi kielbaski, postukał palcem w jedną z kartek, na której widniał nabazgrany adres biura.

– Od jego bardzo wkurwionej asystentki – wyjaśnił, kiedy w końcu połknął. – Dymał ją, podobnie jak dwie inne, o których wiesz. Właśnie odkryła, że nie będzie następną lady Parker.

– A o tym skąd, kurna, wiedziałeś? – spytał Culpepper, gapiąc się na Strike'a znad kartek drżących w jego podeksycytowanych dłoniach.

– Detektywistyczna robota – powiedział niewyraźnie Strike, żując kolejny kęs kielbaski. – Wam chyba też nie była obca, zanim zaczęliście się wyręczać takimi typami jak ja? Rzecz w tym, Culpepper, że ona musi mieć na względzie swoje szanse na rynku pracy, więc nie chce występować w tej historii.

Culpepper prychnął.

– Powinna była o tym pomyśleć, zanim zakosiła...

Strike zręcznym ruchem wyrwał kartki z dłoni dziennikarza.

– Niczego nie zakosiła. Wczoraj po południu kazał jej to wydrukować. Jej jedyne przewinienie polega na tym, że pokazała to mnie. Ale jeśli zamierzasz wysmarować gazety jej prywatnym życiem, Culpepper, zabieram to z powrotem.

– Nie chrzań – powiedział Culpepper, próbując wyjąć z owłosionej ręki Strike'a dowód na uchylanie się od płacenia ogromnych podatków. – W porządku, nie będziemy jej w to mieszać. Ale on i tak się domyśli, skąd to mamy. Przecież nie jest skończonym durniem.

– I co jej zrobi? Zaciągnie ją do sądu, gdzie będzie mogła opowiedzieć o wszystkich innych podejrzanym sprawkach, które widziała w ciągu ostatnich pięciu lat?

– No dobra, zgoda – westchnął Culpepper po chwili namysłu. – Oddaj mi to. Nie wspomnę o niej, ale przecież muszę z nią porozmawiać, prawda? Sprawdź, czy przypadkiem nie kręci.

– Te papiery nie kręcą. Nie musisz z nią rozmawiać – oznajmił Strike zdecydowanym tonem.

Roztrzęsiona, zadurzona i boleśnie zdradzona kobieta, z którą niedawno się pożegnał, nie byłaby bezpieczna sam na sam z Culpepperem. Owładnięta wściekłym pragnieniem zemsty na mężczyźnie, który obiecał jej ślub i dzieci, bezpowrotnie zniszczyłaby samą siebie i swoje perspektywy. Strike nie musiał się długo starać, żeby zdobyć jej zaufa-

nie. Miała prawie czterdzieści dwa lata, myślała, że urodzi potomków lorda Parkera. Teraz ogarnęło ją coś w rodzaju żądy mordy. Strike spędził z nią kilka godzin, słuchając opowieści o jej zauroczeniu, patrzając, jak cała we łzach krąży po swoim salonie, jak kołysze się na kanapie w przód i w tył, przyciskając knykcie do czoła. Wreszcie się na to zgodziła: na zdradę oznaczającą pogrzebanie jej wszystkich nadziei.

– Nie będziesz jej do tego mieszał – powiedział Strike, mocno ściskając kartki w pięści prawie dwukrotnie większej od dłoni Culpeppera. – Rozumiemy się? Temat jest zajebisty nawet bez niej.

Po chwili wahania Culpepper skrzywił się i ustąpił.

– No dobra. Daj mi to.

Dziennikarz wsunął dokumenty do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wypił herbatę wielkimi łykami. Jego chwilowy żal do Strike'a najwidoczniej przygasł w obliczu wspaniałej szansy zszargania reputacji rodaka.

– Lordzie Parker z Pennywell – szepnął wesoło – masz naprawdę przesrane, kolego.

– Rozumiem, że twój wydawca to weźmie? – spytał Strike, kiedy wylądował między nimi rachunek.

– Tak, tak...

Culpepper rzucił na stolik dziesięciofuntowy banknot i mężczyźni wyszli razem z baru. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Strike zapalił papierosa.

– Jak ją skłoniłeś do mówienia? – spytał Culpepper, kiedy ruszyli zimną ulicą, mijając motory i ciężarówki, które wciąż kursowały na targowisko i z powrotem.

– Słuchałem – odrzekł Strike.

Culpepper spojrzał na niego z ukosa.

– Inni prywatni detektywi, których wynajmuję, ograniczają się do podsłuchiwania wiadomości głosowych.

– To nielegalne – powiedział Strike, wydmuchując dym w rzednącą ciemność.

– No więc jak...?

– Ty chronisz swoje źródła, a ja chronię swoje.

W milczeniu pokonali pięćdziesiąt metrów. Z każdym krokiem utykanie Strike'a stawało się bardziej widoczne.

– To będzie coś. To będzie coś! – powiedział z zadowoleniem Culpepper. – Stary zasrany hipokryta biadoli na chciwość korporacji, a sam upchnął na Kajmanach dwadzieścia milionów...

– Cieszę się, że sprawiłem ci radość – powiedział Strike. – Fakturę prześlę mejlem.

Culpepper znów spojrzał na niego z ukosa.

– Widziałeś wywiad z synem Toma Jonesa w ubiegłotygodniowej gazecie? – spytał.

– Toma Jonesa?

– Tęgo walijskiego piosenkarza – podpowiedział Culpepper.

– Aa, jego – odrzekł Strike bez entuzjazmu. – Znałem jednego Toma Jonesa w wojsku.

– Widziałeś ten artykuł?

– Nie.

– Facet udzielił pięknego, długiego wywiadu. Mówi, że nigdy nie widział się z ojcem, że nie zamienił z nim ani słowa. Założę się, że dostanie więcej, niż wyniesie twoje honorarium.

– Poczekaj, aż zobaczysz fakturę – powiedział Strike.

– Tak tylko mówię. Jeden piękny wywiadzik i będziesz mógł odpocząć od nocnego wysłuchiwanie sekretarek.

– Jeśli nie przestaniesz tego proponować, Culpepper – zniecierpliwił się Strike – zmusisz mnie do zerwania naszej współpracy.

– Jasne – odrzekł Culpepper. – Zresztą mógłbym napisać ten artykuł już teraz. Odrącony syn gwiazdy rocka jest bohaterem wojennym, nigdy nie widział się z ojcem, pracuje jako prywatny...

– Słyszałem, że nakłanianie ludzi do zakładania podsłuchów telefonicznych też jest nielegalne.

Na końcu Long Lane zwolnili i stanęli naprzeciwko siebie. Culpepper nerwowo się roześmiał.

– W takim razie zaczekam na fakturę.

– To mi się podoba.

Każdy z nich ruszył w swoją stronę, Strike skierował się ku stacji metra.

– Strike! – Głos Culpeppera odbił się echem w ciemności. – Zaliczyłeś ją?

– Nie mogę się doczekać twojego artykułu, Culpepper – odkrzyknął Strike zmęczonym głosem, nie odwracając głowy.

Wkuśtykał do mrocznego tunelu i zniknął Culpepperowi z oczu.

2

Jak długo mamy się pojedynkować – bo zostać nie mogę,
Ani nawet nie chcę! Mam ważne sprawy na głowie.

Francis Beaumont i Philip Massinger, *The Little French Lawyer*

Metro już się zapełniało. Poniedziałkowoporanne twarze: zapadnięte, mizerne, napięte, zrezygnowane. Strike znalazł miejsce naprzeciwko młodej blondynki z opuchniętymi oczami, która co chwila osuwała się na bok, zapadając w sen. Za każdym razem gwałtownie się prostowała, gorączkowo wodząc wzrokiem po nazwach stacji i sprawdzając, czy przypadkiem nie przegapiła swojego przystanku.

Pociąg terkotał i stukał, pędząc ku skromnym dwóm i pół pokojom pod słabo zaizolowanym dachem, które Strike nazywał domem. W odmętach swojego zmęczenia, otoczony przez puste twarze kojarzące się z owcami, detektyw zaczął rozmyślać o przypadkach, które powołały ich wszystkich do życia. Każde narodziny, jeśli trzeźwo na nie spojrzeć, były jedynie ślepym trafem. Gdy setki milionów plemników płynęły na oślep przez ciemność, szanse, że człowiek nie stanie się sobą gwałtownie rosły. Zdrętwiały ze zmęczenia Strike zastanawiał się, ilu ludzi wypełniających metro było zaplanowanych. A ilu, tak jak on, urodziło się przypadkiem.

W podstawówce chodził do klasy z dziewczynką, która miała na twarzy plamę w kolorze porto, i Strike czuł z nią sekretne pokrewieństwo, ponieważ obydwójce od urodzenia, choć nie z własnej winy, nosili w sobie coś niezaprzeczalnie odróżniającego ich od innych. Sami tego nie zauważali, ale cała reszta klasy owszem, a na dodatek dzieci były na tyle źle wychowane, że ciągle im to wypominały. W końcu zrozumiał, że sporadyczna fascynacja, jaką budzi u zupełnie obcych ludzi

– do piątego roku życia myślał, że ma ona coś wspólnego z jego wyjątkowością – bierze się stąd, iż widzą w nim jedynie zygotę sławnego piosenkarza, przypadkowy dowód na skok w bok niewiernego celebryty. Strike spotkał się ze swoim biologicznym ojcem tylko dwa razy. Trzeba było testu DNA, żeby Jonny Rokeby pogodził się z ojcostwem.

Dominic Culpepper był chodzącą kwintesencją poządlowości i domysłów, z którymi Strike miewał do czynienia, odkąd wszyscy kojarzyli gburowatego byłego żołnierza z podstarzałą gwiazdą rocka. Ich myśli od razu mknęły ku funduszom powierniczym i tłustym sumkom, ku prywatnym samolotom i salom dla VIP-ów, ku strumieniowi hojności multimilionera. Zniecierpliwieni skromnością życia Strike'a i jego morderczym grafikiem pracy, zadawali sobie pytanie: co takiego zrobił, że ojciec się od niego odwrócił? Może udawał nędzę, żeby wyciągnąć od Rokebyego więcej pieniędzy? Co zrobił z milionami, które jego matka z pewnością wycygała od bogatego kochasia?

W takich chwilach Strike z tęsknotą myślał o wojsku, o anonimowości kariery, w której twoje pochodzenie prawie się nie liczy w zestawieniu ze zdolnością do wykonywania roboty. W Wydziale do spraw Specjalnych najbardziej osobiste pytanie, jakie usłyszał podczas rozmowy kwalifikacyjnej miało formę prośby o powtórzenie dziwaczego zestawu imienia i nazwiska, którym obarczyła go przesadnie niekonwencjonalna matka.

Kiedy Strike wynurzył się z metra, na Charing Cross Road panował już spory ruch. Właśnie nastawał listopadowy ranek, szary i niemrawy, pełen ociągających się cieni. Strike skręcił w Denmark Street. Był wycieńczony i obolały, nie mógł się doczekać krótkiej drzemki, licząc, że uda mu się ją upchnąć przed spotkaniem z następnym klientem o wpół do dziesiątej. Pomachał do dziewczyny ze sklepu z gitarami, która w przerwach na papierosa często paliła z nim na ulicy. Wszedł do budynku czarnymi drzwiami za 12 Bar Café i zaczął wspinać się po metalowych schodach zakręcających wokół popsutej żelaznej windy. Na pierwszym piętrze minął studio grafika, a na drugim – własną agencję ze szklanymi drzwiami z grawerunkiem. Wszedł na trzecie, najmniejsze piętro, na którym teraz znajdował się jego dom.

Poprzedni lokator, menedżer baru na dole, przeniósł się w przyjemniejsze miejsce i Strike, który przez kilka miesięcy spał w swojej agencji, natychmiast skorzystał z okazji wynajęcia sąsiedniego lokalu, ciesząc się z tak prostego rozwiązania problemu swojej bezdomności. Mieszkanie na poddaszu było niezaprzeczalnie małe, zwłaszcza dla mężczyzny mierzącego metr osiemdziesiąt osiem. Ledwie mógł się obrócić pod prysznicem. Kuchnia została z trudem połączona z salonem, a podwójne łóżko wypełniało prawie całą sypialnię. Część dobytku Strike'a nadal stała w pudłach na klatce schodowej, mimo pretensji właściciela budynku.

Z małych okien mieszkania roztaczał się widok na dachy, daleko w dole biegła Denmark Street. Ciągłe dudnienie basu z baru na parterze rozbrzmiewało na tyle daleko, że Strike często zagłuszał je własną muzyką.

W każdym kącie było widać wrodzone zamięłowanie Strike'a do porządku: łóżko zostało posłane, naczynia stołowe umyte, wszystko leżało na swoim miejscu. Strike musiał się ogolić i wziąć prysznic, ale to mogło poczekać. Powiesił płaszcz, nastawił budzik na dziewięć i dwadzieścia i rozciągnął się w ubraniu na łóżku.

Zasnął w kilka sekund, a po kilku kolejnych – przynajmniej tak mu się wydawało – znów się obudził. Ktoś pukał do drzwi.

– Przepraszam, Cormoran, bardzo mi przykro...

Jego asystentka, wysoka młoda kobieta z długimi jasnorudymi włosami, wydawała się skruszona, ale na jego widok zrobiła przerażoną minę.

– Nic ci się nie stało?

– Dopiero się obudziłem. Nie spałem całą noc... Dwie noce.

– Naprawdę mi przykro – powtórzyła Robin – ale jest dziewięć i czterdzieści, przyszedł William Baker i zaczyna się...

– Cholera – mruknął Strike. – Musiałem źle nastawić budzik... Daj mi pięć minut...

– To nie wszystko – powiedziała Robin. – Zjawiła się jakaś kobieta. Nie jest umówiona. Poinformowałam ją, że nie masz dzisiaj czasu, ale nie chce wyjść.

Strike ziewnął, potarł oczy.

– Pięć minut. Zrób im herbaty albo coś.

Sześć minut później w czystej koszuli, pachnąc pastą do zębów i dezodorantem, ale z zarostem na twarzy, Strike wszedł do poczekalni, gdzie Robin siedziała przy komputerze.

– Cóż, lepiej późno niż wcale – powiedział William Baker z cierpkim uśmiechem. – Całe szczęście, że masz taką ładną sekretarkę, bo inaczej znudziłbym się i wyszedł.

Strike zauważył, że Robin czerwieni się ze złości i odwraca w drugą stronę, udając, że porządkuje stanowisko pracy. W tonie, jakim Baker wymówił słowo „sekretarka” pobrzmiwało coś niezaprzeczalnie obraźliwego. Dyrektor firmy, ubrany w nieskazitelny garnitur w prążki, zatrudnił Strike’a, żeby sprawdzić dwóch kolegów z zarządu.

– Dzień dobry, William – powiedział Strike.

– Żadnych przeprosin? – mruknął Baker, patrząc na sufit.

– Witam, kim pani jest? – spytał Strike, ignorując go i zwracając się do siedzącej na sofie drobnej kobiety w średnim wieku, ubranej w stary brązowy płaszcz.

– Nazywam się Leonora Quine – odrzekła, a wprawne ucho Strike’a wyłowilo akcent z West Country.

– Strike, mam przed sobą bardzo pracowity poranek – powiedział Baker.

Nie czekając na zaproszenie, wszedł do gabinetu. Gdy Strike nie poszedł za nim, dyrektor na chwilę zapomniał o dobrych manierach.

– Wątpię, czy w wojsku takie spóźniałstwo uchodziło panu na sucho, panie Strike. Proszę natychmiast tu przyjść.

Strike zachowywał się tak, jakby go nie słyszał.

– Co dokładnie miałbym dla pani zrobić, pani Quine? – spytał zaniebana kobietę na sofie.

– Cóż, chodzi o mojego męża...

– Panie Strike, za nieco ponad godzinę mam umówione spotkanie – powiedział William Baker, podnosząc głos.

– ... pańska sekretarka wspomniała, że nie ma pan czasu, ale postanowiłam zaczekać.

– Strike! – warknął William Baker, jakby przywoływał psa do nogi.

– Robin – wycedził wyczerpany Strike, tracąc w końcu cierpliwość – przygotuj rachunek dla pana Bakera i przekaz mu akta, są zaktualizowane.

– Co? – odezwał się zaskoczony William Baker.

Wrócił do poczekalni.

– Wylał pana – wyjaśniła mu z zadowoleniem Leonora Quine.

– Nie dokończył pan pracy – powiedział Baker do Strike’a. – Mówił pan, że jest więcej...

– Niech ją dokończy ktoś inny. Ktoś, kto nie ma nic przeciwko pracowaniu dla takiego dupka.

Atmosfera w agencji jakby stężała. Robin z kamienną twarzą wyjęła akta Bakera z szafy i podała je Strike’owi.

– Jak pan śmie...

– W środku jest mnóstwo informacji, które przydadzą się w sądzie – powiedział Strike, podając teczkę dyrektorowi. – To były dobrze wydane pieniądze.

– Nie skończył pan...

– Z panem skończył – wtrąciła Leonora Quine.

– Zamkniesz się wreszcie, ty głupia kobie... – zaczął William Baker, ale po chwili gwałtownie się cofnął, gdyż Strike zrobił pół kroku w jego stronę.

Nie padło żadne słowo. Były żołnierz wyglądał tak, jakby nagle zaczął zajmować dwa razy więcej przestrzeni niż jeszcze przed chwilą.

– Proszę usiąść w moim gabinecie, pani Quine – powiedział cicho Strike.

Zrobiła, co kazał.

– Myślisz, że będzie ją na ciebie stać? – prychnął wycofujący się William Baker, kładąc rękę na kłamce.

– Moje stawki podlegają negocjacji – powiedział Strike. – Jeśli lubię klienta.

Wszedł do gabinetu za Leonorą Quine i zatrzasnął drzwi.